

Chwała zwyciężonym

Andrzej Brzeziecki,

maj 2018, nr 756

Strajki w maju 1988 r., gdy stanęły „dwa Leniny”, nie odniosły sukcesu – jeden został rozbity przez ZOMO, drugi zakończony przez samych strajkujących. A jednak władze odniosły wówczas pyrrusowe zwycięstwo – dzięki tym protestom do debaty publicznej wróciło słowo „Solidarność”.

Edward Nowak, jeden z czterech najsłynniejszych liderów nowohuckiej Solidarności (obok Jana Ciesielskiego, Mieczysława Gila i Stanisława Handzlika), dobrze pamięta II poł. lat 80. i opisuje ten czas za pomocą dwóch słów: „marazm” i „apatia”

– Ludzie rozkładali ręce. Trudno było cokolwiek zrobić, bo nikt nie chciał nawet słuchać o Solidarności. Był moment, iż robotnicy w Hucie im. Lenina mieli pretensje, że znowu coś organizujemy, że namawiamy do ryzyka. Słowo „Solidarność” nie było wówczas ulubionym hasłem Polaków – wspomina dziś Nowak.

Po drugiej stronie barykady, w obozie rządzącym, sytuacja nie była lepsza. Kilka miesięcy wcześniej, w listopadzie 1987 r., władze musiały przełknąć porażkę referendum w sprawie reform. Frekwencja okazała się za niska. Stało się oczywiste, że gen. Wojciech Jaruzelski nie potrafi zachęcić Polaków do aktywności, nie mówiąc już o entuzjazmie dla szumnie zapowiadanego drugiego etapu reform. Na jednym z posiedzeń Sekretariatu KC PZPR powiedział rozgoryczony, że za cokolwiek władza się weźmie, wszystko jej się rozłązi.

W lutym 1988 r. zdecydowano się na podniesienie cen. Dla takich ludzi jak Nowak pojawiła się nadzieja, że jednak uda się zorganizować strajk – podwyżki cen zawsze przecież wywoływały niezadowolenie Polaków. Sam już nie pracował w kombinacie, skąd został zwolniony, ale dalej miał tam dobre kontakty.

Nowak: – Razem ze Staszkiem Handzlikiem rozpoznaliśmy sytuację, ale okazało się, że strajk się nie uda, że nie ma szans. Opuściliśmy – nie da się, no to trudno. Wszystko, co mogliśmy zdziałać po zalegalizowaniu działalności, to trwać.

Zaskoczenie

Nikt więc raczej nie spodziewał się strajków, podobna do nowohuckiej sytuacja panowała także na Wybrzeżu. A jednak w kwietniu zastrajkowała

komunikacja miejska w Bydgoszczy, potem Stalowa Wola na Podkarpaciu. Było to zaskoczenie dla liderów Solidarności, niektórzy mówili wręcz

o prowokacji władz w przypadku Bydgoszczy, które chciały same kontrolować falę strajkową po podwyżkach i zdusić ją w zarodku –

w istocie strajk bydgoski szybko się skończył.

Dlatego wielkim zaskoczeniem było, gdy 26 kwietnia ok. 9.00 mało znany robotnik z Walcowni Zgniatacz w Hucie im. Lenina Andrzej Szewczuwaniec zatrzymał swoją maszynę i krzyknął: „Strajk!”. Zgniatacz nie był pierwszym lepszym zakładem w hucie, która takich hal liczyła wiele. Zgniatacz był tą walcownią, z której wywodzili się Nowak i Handzlik, ale właśnie oni nie mieli pojęcia o strajku.

– Byliśmy zaskoczeni: jak to, strajk? Bez naszej wiedzy? Strajk wywołał facet, którego nie znaliśmy. Jak to się stało? – wspomina swoją reakcję Nowak.

Czterech liderów nowohuckiej Solidarności postanowiło, że strajk trzeba „przejąć”. Najpierw w hucie zjawił się Handzlik, by rozeznaczyć sytuację. Potem ustalono, że wraz z Ciesielskim ma wejść na teren kombinatu i stanąć na czele strajku, natomiast Nowak ma prowadzić biuro prasowe, zaś Gil zejść do podziemia. Było wszak jasne, że władza zgarnie liderów strajków i wtedy Gil będzie mógł działać dalej.

Choć strajku nie zorganizowała Solidarność, jego charakter od początku był solidarnościowy – robotnicy kombinatu domagali się bowiem podwyżek nie tylko dla siebie, ale także dla ludzi zatrudnionych w oświacie i służbie zdrowia. Upomnieli się również o emerytów i rencistów. Postulowali też przyjęcie do pracy zwolnionych – m.in. właśnie Handzlika i Nowaka. Jednak nie był to strajk, podczas którego przywoływano wartości takie jak wolność słowa, demokratyzacja itp.

Nowak dla strajku rzucił dobrze płatną pracę w firmie polonijnej. Żona, jak zwykle, nie była tym zachwycona. Przeszła już wiele: dwuletnią odsiadkę męża, wyrzucanie z pracy, areszty i rewizje w mieszkaniach. I właśnie teraz, gdy jakoś się ustatkowali, Nowak postanowił udzielać się w strajku w hucie, w której już nawet nie pracował.

– Aby zorganizować biuro prasowe, zamierzałem udać się do któregoś z nowohuckich kościołów. Tymczasem mój kolega Grzegorz Surdy, który miał na Wzgórzach Krzesławickich pokój z kuchnią, ale co ważniejsze, z telefonem, zaprosił mnie do siebie. Akurat miał złamaną nogę – może więc myślał, że będzie mu raźniej?

Od tej pory Nowak obserwował strajk ze Wzgórz Krzesławickich – miał pełny ogląd sytuacji, wiedział nieraz więcej niż ci, którzy brali udział w strajku. Huta była olbrzymia, walcownie i inne zakłady oddalone od siebie, oddzielone przez milicję – przepływ informacji miał więc ograniczony charakter. Władza nigdy nie zdecydowała się odciąć połączenia telefonicznego, dla niej mieszkanie na Wzgórzach Krzesławickich też było dobrym źródłem informacji.

„Dwa Leniny” i Episkopat

Najważniejszym momentem strajku dla wielu ludzi z huty, ale także spoza niej był pochód pierwszomajowy. Gdy partyjni bonzowie, ochraniający przez

milicję, zorganizowali obchody święta robotników na Rynku Głównym, robotnicy przeszli pochodem przez teren kombinatu. Najpierw jednak ks. Kazimierz

Jancarz podczas mszy odprawionej w walcowni karoseryjnej chwalił robotników, że w swoich postulatach upominają się o słabszych

i tych, którzy strajkować nie mogą. Później nastąpiła scena wręcz filmowa.

Robotnicy uformowali pochód wewnątrz huty – opowiada Nowak. – Maszerowali tak z pieśnią na ustach i z transparentami w rękach. A za bramą w drugim pochodzie szły rodziny strajkujących. Oba pochody spotkały się przy bramie. Ta chwila miała wymiar symboliczny. Brama była otwarta.

Paweł Smoleński w reportażu A na hucie strajk z czerwca 1988 r. opisywał moment spotkania: „(...) ludzie z zewnątrz biegną, rzucają się idącym w pochodzie na szyje. Ci z huty patrzą w oczy tym z zewnątrz. Teraz wiedzą już z całą pewnością, że miasto jest z nimi”.

Nazajutrz zastrajkowali robotnicy z gdańskiej Stoczni im. Lenina. Znów – strajk rozpoczął mały znany Jan Stanecki, który o 9.30 na wydziale K-1 dał sygnał do zaprzestania pracy. Szybko uformował się mały pochód, który ze sztandarem szedł przez inne wydziały w kierunku biura dyrekcji i namawiał do strajku. Wśród starych działaczy Solidarności zapanowało pełne

zaskoczenie, zdziwiony był też Lech Wałęsa (przebywał wówczas na zwolnieniu lekarskim), który poprzedniego dnia przemawiał w kościele św. Brygidy. Mówił wówczas m.in.: „Powinniśmy się zastanowić, w jaki sposób organizacyjnie przygotować się do zdecydowanej walki”. Jednak do żadnego strajku nie nawoływał.

Przywódca Solidarności wszedł na teren stoczni już pierwszego dnia strajku, ale na stałe zjawił się tam dopiero 4 maja – razem z doradcami, m.in. z Aleksandrem Hallem i Andrzejem Celińskim.

– Było tam piekielnie mało strajkujących – tak zapamiętał swoje pierwsze wrażenia po wejściu do stoczni Celiński. Bo rzeczywiście: niecała stocznia stanęła. Wśród strajkujących było za to relatywnie dużo młodych pracowników, którzy nie pamiętali czasów pierwszej Solidarności. – Interesująca była obsada trzeciej bramy. Tam byli 20-latkowie – znakomici! Nie było między nami a nimi żadnego niepotrzebnego dystansu – wspomina dalej.

Tymczasem w Episkopacie zrodził się pomysł, by do huty i stoczni wysłać mediatorów. Wkrótce do Krakowa przyjechali wysłannicy Episkopatu – Halina Bortnowska, Jan Olszewski i Andrzej Stelmachowski. Do stoczni zaś Tadeusz Mazowiecki i Andrzej Wielowieyski. Ich misja miała polegać na pośredniczeniu między strajkującymi a dyrekcjami huty i stoczni.

Decyzja Episkopatu sprawiła, że w robotników z Huty im. Lenina tchnęło nadzieją. Strajk, owszem, popierali duchowni – jak ks. Jancarz czy ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski (który wszedł na teren huty 3 maja), ale wysłanie emisariuszy przez Episkopat oznaczało formalne poparcie polskiego Kościoła.

Bortnowska, Olszewski i Stelmachowski dotarli do kombinatu 4 maja przed południem.

– Zgłosiliśmy się w komitecie strajkowym, gdzie spotkałam komplet współpracowników z 1981 r. Zobaczyłam też ołtarz przyozdobiony już na mszę św. następnego dnia – mówi dziś Bortnowska.

Wydawało się, że dyrekcja huty będzie prowadzić rozmowy. Bortnowska знаła dyr. Eugeniusza Pustówkę jeszcze z czasów pierwszej Solidarności.

– Dyrektor Pustówka zaprosił nas do siebie – wspomina była sekretarz redakcji miesięcznika „Znak” – Wszystko wyglądało na początek dobrego kontaktu z dyrekcją, jak w 1980 r. Chcę podkreślić, że dyrektor, który zwykle bardzo oszczędzał swój czas, tym razem rozmawiał z nami długo i chętnie. Traktowałam go poważnie i nie widziałam powodu, by miał nas oszukiwać. Związek był mu potrzebny, jak każdemu menedżerowi, który chce działać w porozumieniu z pracownikami.

W Gdańsku natomiast dyrekcja nie zamierzała rozmawiać. Tadeusz Mazowiecki wspominał później w drugoobiegowym piśmie „Dwadzieścia Jeden”: „Już samo wejście do dyrekcji nie było dla nas zbyt miłe. Gdy zbliżyliśmy się w otoczeniu osób z komitetu strajkowego do budynku dyrekcji otoczonego przez ludzi, ktoś oświadczył: nie będziemy z wami rozmawiać, wy jesteście nielegalni”.

Wróćmy do Krakowa. Po pracowitym dniu spędzonym na naradach Bortnowska i Olszewski udali się na nocleg poza teren huty. Umówili się następnego dnia rano przed bramą główną. Właśnie wtedy miały zacząć się oficjalne rozmowy.

Na styropianie

Strajki majowe należały do protestów, dzięki którym tworzyła się późniejsza legenda Solidarności i „styropianu”, na którym mieli spać strajkujący. Wszystkie społeczne wydarzenia składają się na własny folklor – z hasłami, symboliką i utworami artystycznymi. Przy okazji strajku różni domorośli artyści objawiali swoje talenty. W stoczni utwory prezentowała niejaka Góralka, która koncertowała przy bramach. Śpiewała m.in. pieśń, w której znalazły się nawet smery –

bohaterowie popularnej wówczas kreskówki pokazywanej w niedziele na dobranoc. W przeciwieństwie jednak do bajki, polskie smerfy nie były sympatyczne i miały złe zamiary:

„W Polsce jest ZOMO, jest smerfów wiele
A wszystkim rządzą gargamele.
Główny z nich Wojciech bardzo się stara
By nie cierpiała smerfów wiara!”.

Inny utwór opiewał m.in. uczniów gdańskich szkół, którzy służyli za łączników między stoczną a miastem i dostarczali oblężonej przez milicję oraz ZOMO stoczni żywność:

„Chleb nam donoszą te smyki,
co skaczą przez płot jak kangury.
Smerfy blokują – ich sprawa,
Na szczęście w płocie są dziury”.

Nie wszyscy jednak spali na styropianie. Hall wspomina, że spał w salce konferencyjnej. Miał śpiwór. Celiński nocował w tej samej sali, ale pod stołem.

– Poza tym przez dwie noce spałem wygodnie, w łóżku z białą pościelą, na Sołdku, który wówczas przechodził konserwację w stoczni – wspomina Celiński. – Ale strajkujący naprawdę spali na styropianie, sam widziałem ten styropian.

Jak wspomniano, zarówno w hucie, jak i w stoczni nie wszyscy strajkowali. Nie wszyscy chcieli, ale też nie wszyscy mogli. Ogłaszający strajk komitet brał odpowiedzialność za majątek zakładu. Czasem więc trzeba było pracować, bo akurat przywieziono ważny materiał, który nie mógł czekać, bo by się zmarnował. Przerwanie pracy w niektórych halach mogło oznaczać awarię maszyn, nie można było także wygasić pieców hutniczych.

Inna sprawa to obawa przed prowokacjami. Komitet strajkowy musi wyznaczyć ludzi, którzy będą pilnować tych miejsc, gdzie materiałów łatwopalnych jest pod dostatkiem.

– Prowadzenie strajku w hucie to olbrzymie przedsięwzięcie logistyczne – tłumaczy Nowak.

Osobne wyzwaniem to komunikacja. PRL-owskie zakłady pracy były molochami. I tak np. łączna powierzchnia Huty im. Lenina była ok. 400-krotnie większa od powierzchni krakowskiego Rynku Głównego, w hucie zorganizowano wewnętrzny transport autobusowy i kolejowy. Cały ten teren trzeba było jakoś ogarnąć.

ZOMO atakuje

Do rozmów między strajkującymi hutnikami a dyrekcją nigdy jednak nie doszło.

W nocy z 4 na 5 maja rozpoczął się atak jednostek ZOMO. Była to jedna z bardziej brutalnych akcji tej formacji, jakby zupełnie niepasująca do okresu schyłkowego PRL-u – patrząc z dzisiejszej perspektywy, aż trudno uwierzyć, że do takich wydarzeń doszło raptem na kilka miesięcy przed startem rozmów, które zakończyły się przy Okrągłym Stole.

W reportażu Pawła Smoleńskiego możemy przeczytać relacje ludzi, których zaatakowali zomowcy. Pracownica huty Elżbieta Krzyżostanek mówiła wówczas: „(...) jeden uderzył mnie w nogę – taki wysoki, twarzy nie pamiętam, są tak podobni do siebie – aż kucnęłam. I mówi do mnie: »Co, kurwo, robić ci się nie chce! Strajkować ci się chce. Biegiem, biegiem«. Uderzył mnie wtedy pałką w plecy; ten ból najbardziej odczułam, rękę mi sparaliżowało, nie mogłam nią ruszać. Wywróciłam się, nie wiem, co dalej, miałam utratę przytomności”.

Tak zaś Smoleńskiemu opisywał skutki wejścia ZOMO do huty ówczesny duszpasterz Solidarności ks. Isakowicz-Zaleski: „Widziałem zdemolowany budynek strajkowy. Widziałem

wszystko dokładnie rozwalone. Przypuszczam, że walono pałkami, łomami po wszystkim, co tam wokoło było. Szafki – to szafki mistrzów, które na okres strajku były zabezpieczone – stoły, szklanki, lustra, szyby. W moim pokoju wszystkie sprzęty liturgiczne, które miałem do odprawiania mszy św., były wyrzucone na ziemię. Na to wszystko wysypano komunikanty – niekonsekwentnie, tylko te, które były do odprawiania przyszłej mszy. I na tym wyraźne ślady butów. Niszczono bardzo wiele rzeczy. Obraz Matki Bożej został zrzucony ze ściany Walcowni Zgniatacza”.

– Rano dowiedziałam się o ataku na komitet strajkowy, zburzeniu ołtarza i zniszczeniu świątecznego wystroju, pobiciu kobiet, które wciąż tam były – wspomina Bortnowska – To był szok, bo wydarzenie było niespodziewane. Po południu tego dnia wysłannicy Episkopatu spotkali się z grupą hutników w parafii w Mistrzejowicach. Nie zapomnę nigdy spotkania z hutnikiem, który zgłosił się do księdza z Mistrzejowic z wiadomością, że jego żonę pobito przy ołtarzu – on, mąż, wie, że mamy zło dobrem zwyciężać, ale naprawdę chce i musi tego zomowca zabić. Ksiądz był mu potrzebny, żeby mu w tym przeszkodzić. Ksiądz więc przycisnął go do siebie, a wszyscy płakaliśmy – „solidarnie”.

Strajk rozbito i spacyfikowano, kilkadziesiąt osób zostało aresztowanych, w tym Nowak zgarnięty nad ranem z mieszkania gościnnego znajomego, ale na tym opór się jednak nie zakończył. Handzlik i Ciesielski wezwali robotników z huty do strajku absencyjnego. Wezwanie padło na podatny grunt, bo ludzie nie chcieli po pacyfikacji pracować, jak gdyby nigdy nic.

– Jak się bardzo chce, to można udawać, że się nie da pracować – tłumaczy Nowak. – Można choćby brać zwolnienia. Dwa dni po pacyfikacji huta dalej nie pracowała tak, jak powinna. Dyrekcja zaczęła ściągać łamistrajków ze Śląska. Ale to też nie było takie proste. Na różne sposoby przeszkadzano im w pracy. Postawiliśmy warunki, że huta nie ruszy pełną parą, póki nie zwolnią strajkujących z aresztów. W końcu władze pękły i wypuszczono ludzi.

Mimo że strajk brutalnie przerwano, liderzy Solidarności mieli poczucie sukcesu – tym bardziej że nowohucki strajk został poparty przez krakowską młodzież. Organizacje, takie jak Niezależne Zrzeszenie Studentów, Wolność i Pokój, Konfederacja Polski Niepodległej, wspierały strajk – trochę zresztą ratując honor starego Krakowa, który wówczas był raczej bierny.

– Inteligencka młodzież popierająca robotników to była nowa jakość – mówi Nowak.

Strajk więc może nie wygrał, ale otworzył etap odradzania się Solidarności – zarówno tej przez duże, jak i małe „s”.

Wojna nerwów

Informacja o pacyfikacji strajku w Hucie im. Lenina szybko dotarła na Wybrzeże.

– Od tej pory liczyliśmy się z tym, że pacyfikacja nastąpi także u nas – opowiada Hall – Byliśmy pewni, że tak się stanie, gdy w nocy pod bramę nr 2 podjechała kolumna milicyjna z włączonymi kogutami. Zerwaliśmy się na równe nogi, ale kolumna po pewnym czasie odjechała.

W tekście Gdańsk, maj 88 autorstwa kronikarza strajku Wojciecha Giełzyskiego moment pozorowanego szturm ZOMO opisany jest nie bez poczucia humoru: „W dyrekcyjnej stołówce wszyscy spali oprócz Mazowieckiego. Nie mógł zasnąć, bo było mu zimno. Wszystkie swoje rzeczy zostawił u Brygidy [w parafii – przyp. autora], nawet sweter, dostał wprawdzie od kogoś koc, ale gdy na chwilę poszedł na dużą salę porozmawiać z robotnikami, kocem nakrył się Szablewski... i chrapał. Chrapał Wałęsa, chrapali doradcy, operator, który obsługiwał aparat podsłuchowy Lecha, też chrapał. Ale aparat działał i Mazowiecki słyszał wyraźnie komendy oficerów: »Alarm na trzeciej bramie«, »Alarm na drugiej bramie«, »Alarm na wszystkich bramach« – a wreszcie: »Uwaga, wchodzimy, koniec tej zabawy«. Zerwał się Mazowiecki, w pośpiechu założył jeden but swój, drugi cudzy, postawił wszystkich na nogi. Ocknęli się w mgnieniu oka i popędzili do stołówki budzić ludzi, inni do bram... Zbiegła się cała falanga stoczniowców, kilku

z kijami nawet, lecz cóż by mogli wskórać przeciw zawodowemu zabijakom. Ale ZOMO, zamiast nacierać, wykonało w tył zwrot”.

Była to klasyczna wojna nerwów. Z czasem do liderów strajku doszło, że właściwie znajdują się w pułapce. Władze stoczni nie chciały rozmawiać z komitetem strajkowym, władza w Warszawie buńczucznie stwierdziła, że stocznia właściwie przynosiła tylko straty, więc strajk stoczniowców nie ma wpływu na polską gospodarkę. Nie można było trwać bez końca. Lech Wałęsa i Tadeusz Mazowiecki zdawali sobie z tego sprawę. Tym bardziej że liczba strajkujących topniała. W ostatnich dniach protestu było ich ok. 600, może trochę więcej.

Rozwiązanie autonomiczne

6 maja dyrekcja stoczni przystąpiła do rozmów z komitetem strajkowym, ale tak naprawdę nie miała intencji, by się porozumieć – strajk był liczebnie za słaby, by wyrzucić wrażenie na władzy – był to tylko cień protestów z sierpnia 1980 r.

– Mazowiecki, widząc, że negocjacje z dyrekcją do niczego nie prowadzą, chciał wyciszyć nastroje strajkujących stoczniowców, by ze spokojem przyjęli fakt, że zwycięstwa nie będzie – opowiada Hall. – Ale Wałęsa, wręcz przeciwnie, zagrzewał ich okrzykiem: „Nie ma wolności bez Solidarności!”, czyli bez zalegalizowania związku.

Wałęsa przyjął postawę: „Nie wychodzę, niech pacyfikują”. Trafiał tym do serc młodszych stoczniowców, którzy może też chcieli przeżyć dramatyczne chwile. Hasła Wałęsy umacniały zdeterminowanych, ale nielicznych robotników w przekonaniu, że przywrócenie Solidarności jest realnym celem strajku.

– Lech tylko podgrzewał nastroje wśród młodych robotników, a ci wierzyli mu, że strajk może zakończyć się legalizacją Solidarności. Tymczasem było już jasne, że to niemożliwe – opowiada dalej Hall. Doradcy obawiali się, że nieuniknione inne zakończenie strajku zostawi stoczniowców z poczuciem klęski.

Jedynym rozwiązaniem, jakie z czasem stało się realne, było wyjście ze stoczni z podniesionymi głowami – nazywano to „rozwiązaniem autonomicznym”. Część robotników wciąż jednak nie chciała przyznać się do porażki i deklarowała wolę strajku.

„Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że trwać należy, ale nie można trwać w sytuacji, gdy topnieje liczba strajkujących” – wspominał Mazowiecki w piśmie „Dwadzieścia Jeden”.

Gdy zapadła wreszcie decyzja, by wyjść ze stoczni, zadanie przekonania do tego stoczniowców wzięt na siebie Celiński.

– Wałęsa powiedział: „Idź i rozmawiaj z nimi” – wspomina Celiński. – No i poszedłem. To było najlepsze moje przemówienie w życiu. Tak bardzo porywające, że sam się porwałem. Tyle tylko że szef 3. bramy, który miał może 20 lat i z którym nieraz wcześniej dobrze rozmawiałem, podniósł rękę, raz, dwa, trzy, rytmicznie i zakrzyczał: „Nie ma wolności bez Solidarności!”. To był koniec mojej misji. Na szczęście zjawił się Wałęsa i przekonał strajkujących, którzy ze łzami w oczach ustawili się karnie przed bramą. Wielu robotników miało poczucie klęski.

Solidarność zaistniała

– Wychodząc, nie wiedzieliśmy, co się stanie. czy milicja będzie pró bowała nas zatrzymać, czy nas przepuści – opowiada Hall. – Szedłem w końcówce pochodu. Panowała uroczysta atmosfera.

Zdjęcie upamiętniające wyjście ze stoczni jest jednym z najsłynniejszych symboli polskich dążeń do wolności: Wałęsa z Mazowieckim idą w pierwszym rzędzie, trzymając się pod rękę. Mazowiecki trzyma też Andrzeja Zapaśnika, który niósł wielki krzyż. Obok szedł Celiński z apteczką – wyraźnie widoczny jest na niej czerwony krzyż.

– W apteczce była maszyna do pisania – wyjaśnia Celiński dziś.

Milczący pochód stoczniowców zrobił wielkie wrażenie na mieszkańcach Gdańska. Im byli bliżej kościoła św. Brygidy, tym na ulicach było coraz więcej ludzi skandujących: „Dzię-ku-je-my!”. Gdy dotarli pod kościół, zaczęły bić dzwony, rozpoczęła się msza.

– W miarę zbliżania się do św. Brygidy na chodnikach było coraz więcej ludzi. Już wtedy miałem poczucie sukcesu strajku w odbiorze społecznym. Zostało ono wzmocnione przez kazanie bp. Tadeusza Gocłowskiego, który mówił o moralnym zwycięstwie strajkujących i wytworzył w nich przekonanie, że wygrali. W kazaniu bp Gocłowski wyniósł nasz strajk, choć niczego nie uzyskaliśmy, do moralnego zwycięstwa Solidarności i czułem, jak zmienia się nastrój wśród ludzi. Miałem poczucie, że to, co zrobiliśmy, to jednak sukces, że Solidarność zaistniała – wspomina Hall.

–

Korzystałem m.in. z W. Giełżyński, P. Smoleński, Robotnicy 88, Londyn 1989; T. Tabako, Strajk '88, Warszawa 1992.

Miesięcznik ZNAK, maj 2018 nr 756:

http://www.miesiecznik.znak.com.pl/chwala-zwyciezonym-strajki-w-maju-1988/?fbclid=IwAR2fQO0FNao-DZ_gdhOHWCejOF-6NBuGmZYr5nG7Y58BijF37BSwST1qCyA